

MAGAZYN STOLECZNY Europejskie Targi Muzyczne „Gazety Co Jest Grane”

WINYLI I KASETA ZACHOWAŁY PAMIĘĆ O MNIE

- Ja istniałam dla publiczności. Gdybym kierowała się wyłącznie opinią jurorów, powinnam była zakończyć karierę w 1971 r., po zaśpiewaniu piosenki „Dom, który mam” - mówi Zdzisława Sośnicka. W sobotę spotka się z fanami w Pałacu Kultury i Nauki podczas Europejskich Targów Muzycznych „Gazety Co Jest Grane”

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Zdzisława Sośnicka to postać niezwykła na polskiej scenie muzycznej. Karierę rozpoczęła na początku lat 70., nagrała dziewięć płyt, do tego angielską wersję albumu z przebojami musicalowymi i składankę „Zaśpiewane, niewydane” z kompozycjami, które nie pomieściły się na wcześniejszych krążkach. Kiedy miała siedem lat, mama zaprowadziła ją do szkoły muzycznej. Dyplom otrzymała na Wydziale Dyrygentury Chóralnej i Instrumentalnej - z pieśni kurpiowskich oraz „Ave verum corpus” Wolfganga Amadeusza Mozarta. Umiejętność dyrygowania rytmu miała się jej przydać podczas festiwalu w Opolu.

Ze swoją muzyką zwiędziła pół świata, występowała w Tokio, Midem, Caracas. Płyty wydawała regularnie, ale niespiesznie - tylko wtedy, kiedy wiedziała, że ma coś ważnego do powiedzenia. I dlatego m.in. jej dyskografia jest tak wysmienita. Od kilku lat mniej o niej słychać, wycofała się, czuła, że nie wzbudza już takiego zainteresowania. Jak bardzo się myliła, udowodnił wydany w tym roku zestaw jej płyt, oczyszczonych dźwiękowo, zremasterowanych. Nie tylko media, ale przede wszystkim fani zaczęli dopytywać, kiedy Zdzisława Sośnicka nagra nową płytę, kiedy wyruszy na trasę koncertową.

Piosenka będzie jednym z gości Europejskich Targów Muzycznych „Co Jest Grane”. Opowie o swojej karierze, wydanym nakładem Polskich Nagrań w tym roku boksie z wszystkimi swoimi zremasterowanymi płytami oraz może zdradzi plany na przyszłość Europejskie Targi Muzyczne „Gazety Co Jest Grane”.

ROZMOWA ZE
ZDZISŁAWĄ SOŚNICKĄ

Łukasz Kamiński: Oglądając pani koncerty, zawsze miałem wrażenie, że na scenę wchodzi pani tak, jakby to był pani pierwszy i ostatni koncert jednocześnie. Co pani czuła na kilka sekund przed występem?

Zdzisława Sośnicka: Byłam skoncentrowana, ale zawsze miałam tremę. Miałam też taką przypadłość, że jasno widziałam wszystkie błędy i potknięcia, które za chwilę mogą mi się przytrafić. To dość paraliżujące uczucie, tak jakbym była związana mocnymi sznurami. Po pierwszym kroku na scenie wszystko to zostawało za kulisami. Żeby uchronić się jakoś przed tymi my-

ślami, nie oglądałam swoich występów w telewizji. Bo po każdym takim seansie zapamiętywałam błędy. Bliscy je jednak nagrywali, mam w domu stare VHS-y.

Czy dziś jest szansa na obejrzenie pani występów w telewizji?

- Moje recitale są gotowe do emisji, dźwięk jest zremasterowany, obraz cyfrowo poprawiony. Wszystko zależy od Telewizji Polskiej. Pojawiała się ostatnio szansa na wyemitowanie recitalu „Musicales” w TVP Kultura. Czy się uda, będę wiedziała pod koniec roku.

Chciałbym jeszcze wrócić do pierwszego pytania. Zapytałem o zimną krew, tę pewność siebie przy wychodzeniu na scenę, bo pamiętam przypadek, kiedy musiała pani wcielić się na chwilę w dyrygenta orkiestry.

- To było na samym początku mojej kariery. Jako laureatka krakowskiego Studenckiego Festiwalu Piosenki zostałam zaproszona na festiwal w Opolu. Miałam wystąpić podczas koncertu debiutów. Kiedy wchodziłam na scenę, zauważyłam, że dyrygent Leszek Bogdanowicz zagałdł się z kimś za kulisami. Sytuacja była gorąca, bo konferansjer już mnie zapowiedział. Podeszłam więc do orkiestry i powiedziałam: „Jego nie ma, to ja zaczynam”. Zadyrygowałam, orkiestra zaczęła grać, a ja wróciłam do mikrofonu i zaczęłam śpiewać. Po chwili wyskoczył Bogdanowicz, krzycząc: „Masz nagrodę!”

No to zapamiętali panią w Opolu!

- Może zapamiętali, ale na następną nagrodę tam musiałam czekać kilka lat, aż do 1979 r.

Mam któryś z piosenkarzy opowiada o muzyce tak jak pani. Z jednej strony - chłodna, matematyczna analiza utworu, z drugiej - potrzeba emocjonalnej więzi z piosenką. W jednym z wywiadów przyznała pani, że aby mogła pani zaśpiewać jakiś utwór, musi on wcześniej w pani zagościć.

- To nie jest tak do końca, że moje techniczne podejście jest chłodne. Gdy myślę o muzyce, zastanawiam się też, czy jest piękna. Kiedy dostaję od kogoś utwór, słucham go tylko raz. Jeśli po pierwszym przesłuchaniu mi się nie spodoba, odkładam go na później. Tu nie ma miejsca na kalkulację, to czysto organiczna reakcja. Po paru dniach słucham go znowu. I dopiero wtedy podejmuję decyzję. Są oczywiście utwory, które spodobały mi się natychmiast, np. „Aleja gwiazd”.

Czy odrzuciła pani jakąś piosenkę, a po latach żałowała, że jednak jej nie nagrała?



BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Spotkanie ze Zdzisławą Sośnicką w sobotę o godz. 12.30, Pałac Kultury i Nauki. Artystka opowie o swojej karierze, muzyce i planach na przyszłość

- Oczywiście. Część z nich znalazła się na płycie „Zaśpiewane, niewydane”. To zresztą były piosenki odrzucone nie tylko przeze mnie, ale też przez różne rodzaje komisje, profesjonalne gremia. Był taki moment w mojej karierze, że stałam się zakładnikiem takich komisji, które odrzucały kolejne moje piosenki, nie dopuszczając ich do anteny. Po przeciwnej stronie tego stołu była publiczność. W niej zawsze miała pani oparcie.

- Ja istniałam dla publiczności. Gdybym kierowała się wyłącznie opinią jurorów, powinnam była zakończyć karierę w 1971 r., po zaśpiewaniu piosenki „Dom, który mam” (śmiech). A tak naprawdę od tej piosenki wszystko się zaczęło!

- Owszem, choć miałam to nie-szczęście, że przez dziennikarzy, krytyków zostałam kiedyś zakwalifikowana do kategorii piosenek festiwalowych. To miało spory negatywny wpływ na moją karierę. Bo jeśli proponowałam coś odbiegającego stylistycznie, było to odrzucane. O „Alej gwiazd” usłyszałam, że jest niereprezentatywna. Podróżując i występując w różnych zakątkach świata, miała pani możliwość obejrzenia na żywo wielkich muzyków: Santany, Steviego Wondera, Quincy Jonesa, Giorgio Morodera. Wywarli wpływ na pani muzykę?

- Ogromny. Na tyle, że szukałam muzyków, którzy mogliby grać w podobnym duchu, nie naśladować, ale mieć to wyczucie, umiejętność aranżowania sekcji rytmicznej, by była tak wyrazista, by miała taki impet. I znalazłam. To był zespół Arp Life Andrzeja Korżyńskiego. Niestety, nie był stały. Zwróciłam się więc do Janusza Komana. Nagraliśmy płytę „Moja muzyka”, z której byłam bardzo zadowolona. Krytyka mnie jednak pogrzała, obwieszono, że jestem skończona, że to był mój gwóźdź do trumny.

To moja ulubiona płyta z pani dyskografii. Mam ją, podobnie jak i inne albumy, na winylach, kasetach. Ich dźwięk w porównaniu z wznowionymi płytami jest oczywiście nieporównywalnie gorszy, mają jednak w sobie ten sentymentalny klimat.

- Płyty analogowe i kasyety miały swoje ograniczenia dźwiękowe, a przez to wiele z oryginalnych nagrań umykało. Co więcej, by dopasować nagrania do tych nośników, skracano nasze piosenki, cięto je, wyrzucano. I to często bez naszej wiedzy. Sentyment, o którym pan mówi, jest mi oczywiście bliski. Bo to dzięki winylom przetrwałam, dzięki nim mogłam teraz powrócić z boksem moich płyt. Winyli i kaseety zachowały pamięć o mnie.

Zawsze miała pani szczęście do współpracowników.

- Teraz Alicja Szymańska z Polskich Nagrań i realizator dźwięku Jacek Gawłowski pomogli mi wydać zremasterowaną dyskografię, choć nie było łatwo. Chciałam, żeby moje płyty brzmiały tak jak współczesne, czysto, wyraźnie. I się udało. Wcześniej, przez całą moją karierę, pracowałam ze wspaniałymi kompozytorami i autorami tekstów: Bogdanem Olewiczem, Jackiem Cyganem, Romkiem Lipką. To byli również przyjaciele, Olewicz pracował ze mną jak dowódca. Gdy zmieniałam styl, to on dodawał mi otuchy. A potrzebowałam jej zwłaszcza po próbach na festiwalach,

kiedy wszyscy techniczni kulili się, gdy śpiewałam. Albo było za głośno, albo za mocno, aparatura nie była dostosowana do muzyki, którą wykonywałam. Nigdy niczego nie zazdrościłam wykonawcom zachodnim. Poza jedną rzecz - sprzętem muzycznym, nagłośnieniem, technologią.

Czy dużo jest jeszcze w pani archiwach nagrań niewydanych?

- Niespecjalnie. Większość znalazła się na albumie „Zaśpiewane, niewydane” oraz jako bonusy na każdej wznowionej płycie. W sumie to ponad 30 kompozycji. Jest jeszcze kilka utworów, które z różnych przyczyn nie mogły zostać wydane, choćby dlatego, że były w mono. Albo dlatego, że reżyserzy dźwięku podczas pracy w studiu źle mnie nagrali. Poza tym niełatwo jest połączyć ze sobą na jednym albumie piosenki z różnych etapów kariery, różnych epok, tak by współgrały ze sobą. Nad przygotowywaniem „Zaśpiewane, niewydane” spędziłam trzy miesiące. Nie dorabiam tu żadnej filozofii, po prostu pierwszy utwór musi płynnie przechodzić w drugi, a ten w kolejny. Nie technicznie, tylko organicznie.

Wydała pani zestaw swoich płyt. A kiedy wróci pani na scenę?

- Od pół roku, od wydania tego zestawu, żyję trochę w nierealności, w świecie, który mnie zaskakuje i sprawia niespodzianki. A sądziłam, że już się to nie powtórzy. I choć koncertów na razie nie planuję, to obudziła się we mnie chęć, by coś jeszcze nagrać. Od października spływają do mnie piosenki od moich ulubionych kompozytorów. Słucham ich cały czas, bardzo mi się podobają, ale to współczesne aranżacje. Czy nagranie ich nie byłoby błędem? Czy po raz kolejny miałabym zmienić styl? Nie wiem, czy mogę jeszcze raz zaryzykować. •

Europejskie Targi Muzyczne

„Gazety Co Jest Grane”

28-30 listopada, Pałac Kultury i Nauki

Bilety w sieciach Ticketpro, Eventim

i eBilet.

Program: www.targicojestgrane.pl

cojestgrane
EUROPEJSKIE
TARGI MUZYCZNE

WARSZAWA
28-30.11.2014

PAŁAC KULTURY I NAUKI

targicojestgrane.pl

